

ROKSANA JĘDRZEJEWSKA - WRÓBEL

# Lucjan

LEW, JAKIEGO NIE BYŁO



ING 

**Lucjan** LEW,  
JAKIEGO NIE BYŁO



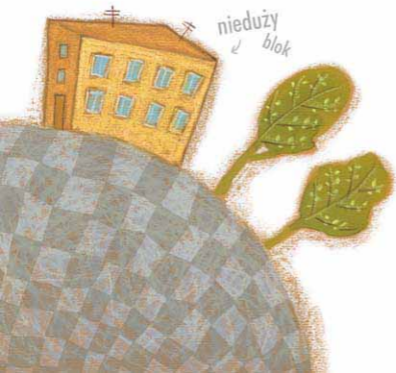
ROKSANA JĘDRZEJEWSKA-WRÓBEL

# Lucjan

LEW,  
JAKIEGO NIE BYŁO

ilustracje  
Joanna  
Jung





nieduży  
↙ blok



Hania mieszkała z mamą i tatą w niedużym bloku na kolorowym osiedlu. Właśnie tam, w przytulnym mieszkaniu na drugim piętrze, miała swój pokój. Chociaż było w nim wszystko, co potrzebne jest małym dziewczynkom, żeby się dobrze bawiły, Hania często przychodziła do kuchni albo pokoju rodziców i oznajmiała:

– Nudzę się.

I zupełnie nie rozumiała, dlaczego to jedno niewinne słowo tak bardzo ich denerwowało. Podobnie jak narzekania, że nie ma się z kim bawić. Bo prawdę mówiąc, Hania czuła się trochę samotna i marzyła o najlepszej przyjaciółce. Takiej, której mogłaby opowiedzieć wszystkie sekrety i która nigdy by się z niej nie śmiała. Oczywiście, w bloku Hani mieszkały różne dziewczynki, ale zawsze, kiedy wychodziła na podwórkę, wydawały się bardzo zajęte graniem w gumę albo chichotaniem pod trzepakiem. Tak więc nie miała chwilowo najlepszej przyjaciółki ani nawet zwykłej koleżanki. Miała za to ząb, który się kiwał. Na samym przodzie! Taki kiwający się ząb to wielki skarb. Kiedy w końcu wypadnie trzeba włożyć go pod



Hania  
się nudzi

poduszkę, a wtedy przez okno wleci Zębowa Wróżka i wymieni go na jakiś fantastyczny prezent. Hania nie mogła się już tego doczekać, ale ząb – chociaż co chwilę sprawdzała palcem – wcale się nie spieszył. Aż do pewnego popołudnia. Tego dnia na obiad, zamiast



jej ulubionych naleśników były mięsne pulpety.

– Ohydne pulpety! – mamrotała, dziobiąc je widelcem z taką siłą, że z rozpacz miała ochotę rzucić się z talerza prosto na podłogę, kiedy nagle...

– Wypadł! Wypadł! – zawołała i aż podskoczyła z radości.

Potem wypluła na talerz kawałek pulpety w sosie pomidorowym i wydłubała z niego mały biały ząb, który starannie zawinęła w sreberko po batoniku. A kiedy wieczorem mama skończyła jej czytać bajkę, Hania włożyła ząb pod poduszkę i zapytała:

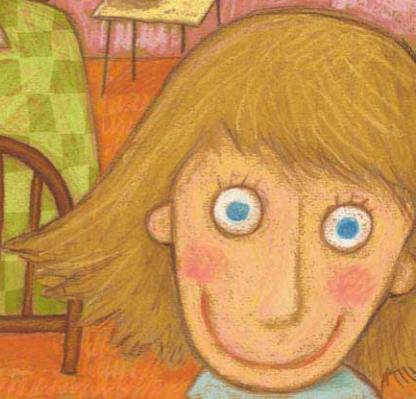
– Jak myślisz, co mi przyniesie Zębowa Wróżka?

– Na pewno coś ładnego – powiedziała mama i pocałowała Hanię na dobranoc.

Zasypiając Hania dotykała językiem pustego miejsca po zębie i zastanawiała się, co chciałaby najbardziej. Może lalkę? Najlepiej, z własnym domkiem i kompletem ubranek. A może brokatowe mazaki świecące w ciemności? Albo film o dzielnych agentkach?



szydelkowe  
firanki →







– Niech już będzie to rano – pomyślała, i żeby szybciej zasnąć mocno zacisnęła oczy.

Natychmiast po przebudzeniu, sięgnęła ręką pod poduszkę. Zęba nie było! Nie było też lalki ani mazaków. Ani nawet filmu! Pod poduszką nie było niczego oprócz... lwa. Żółtego

lwa z okrągłymi mięciutkimi uszami, gęstą grzywą i długim ogonem, który uśmiechał się od ucha do ucha, a w grubej łapie trzymał walizkę na kółkach.

– A więc to wszystko? – pomyślała rozczarowana. – Tak długo czekałam na Zębową Wróżkę, a ona przyniosła mi pluszowego lwa?

Sprawdziła jeszcze raz, ale pod poduszką nie było nic więcej. Absolutnie nic. Wróżka najwyraźniej ją oszukała.

– Chciałam lalkę. Albo mazaki... – rozplakała się Hania.

– Przecież to całkiem fajny lew. Zobacz jak się ładnie uśmiecha – powiedziała mama wchodząc do pokoju.

– Ale ja go nie potrzebuję! Niech ta głupia wróżka go sobie zabiera! – darła się Hania.

Jednak mama już nie zwracała na nią uwagi, bo właśnie w przedpokoju zadzwonił telefon. Obrażona na Zębową Wróżkę, mamę i wszystkie telefony świata, Hania cisnęła lwa na najwyższą półkę regału z książkami. I na długi czas zupełnie o nim zapomniała.



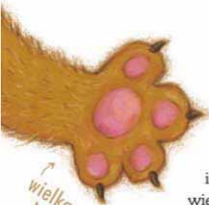
Tego dnia Hania obudziła się z samego rana, ale nie otworzyła oczu. Leżała i czekała, aż mama jak zwykle zawoła z kuchni: „Wstawaj, córeczko! Śniadanie na stole”. Jednak mama się nie odzywała, a do uszu Hani dochodził jakiś tajemniczy szelest.

– Pewnie rodzice grabią liście w ogrodzie – pomyślała zaspana.

Po chwili jednak przypomniała sobie, że przecież mieszkają w bloku i nie mają żadnego ogrodu do grabienia. Usiadła na łóżku i spojrzała w kierunku drzwi, ale ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że... drzwi nie było! Mało tego, chociaż to zupełnie niemożliwe, nie było też pokoju ani podłogi, ani w ogóle niczego. znaczy niczego znajomego. Zamiast nocnej lampki, szydełkowych firanek w oknie, regału z książkami i pomarańczowego dywanu wszędzie pięły się nieznanne, groźnie wyglądające rośliny o postrzępionych liściach i dziwnych kwiatach.

postrzępione  
liście →





↑  
wielka  
łapa

Niektóre z nich wspinały się po nogach łóżka i wyglądały zupełnie jak węże. Nagle wśród tego gąszczu coś się poruszyło, a Hania po raz kolejny usłyszała tajemniczy odgłos i zobaczyła jak spomiędzy liści wyłania się... wielka łapa. Więc naprawdę trudno się dziwić, że wrzasnęła tak głośno, jak jeszcze nigdy w życiu, i schowała głowę pod poduszkę.

– To wszystko tylko mi się śni. Zaraz się obudzę i mama powie, że na śniadanie jest owsianka. A ja powiem, że chcę płatki. I wszystko znowu będzie normalnie – wyszeptała.

I rzeczywiście w tym samym momencie, tuż obok niej odezwał się głos. Niestety, z pewnością nie należał on do mamy Hani.

– Tylko bez paniki moja droga! Tylko bez paniki! Lucjan już do ciebie idzie!

– Lucjan? Jaki znowu Lucjan? – pomyślała Hania, ale głos wydał jej się na tyle miły, że odważyła się wyrzeć spod poduszki

Ale tylko na chwilę. Bo to co zobaczyła spowodowało, że natychmiast naciągnęła ją z powrotem na głowę.

Przed jej łóżkiem stał... wielki lew ubrany w pasiaste szorty. Za sobą ciągnął walizkę na kółkach.

– Naprawdę mnie nie poznajesz? – zapytał.

Hania przełknęła głośno ślinę i odsłoniła jedno oko. Rzeczywiście już gdzieś widziała ten głupkowaty uśmiech. I ta walizka...



↑  
bardzo  
dziwna  
roślina



walizka  
na kółkach

– Na co mu walizka? – pomyślała Hania i w tym momencie przypomniała sobie, skąd zna tego lwa. Identycznego przyniosła jej przecież ta okropna Zębowa Wróżka.

– Ale przecież ... Przecież to niemożliwe – wyszeptwała.

– No cóż, na świecie zdarzają się czasem rzeczy bardzo dziwne – powiedział lew. – Na przykład dziewczynki, którym nie podobają się pluszowe zabawki.

Kiedy Lucjan wspomniał o zabawkach, Hania nagle bardzo zatęskniła za domem.

– Ja chcę do mamy!!! – rozplakała się.

– Przykro mi moja droga, to chwilowo niemożliwe. Ale wszystko w swoim czasie, wszystko swoim czasie... – powiedział lew.

– Ale ja nie chcę w żadnym „swoim czasie”! Ja chcę teraz!

– No tak, rozumiem... Hmm... Tak – lew Lucjan rozejrzał się bezradnie dookoła, jakby z nadzieją, że na którymś drzewie przypięta jest instrukcja obsługi płaczących dziewczynek.

Niestety, najwyraźniej zdany był na własne siły. Wziął się więc w garść.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby „teraz” było tak szybko, jak to tylko możliwe. Wytrzymaj buzię,

musimy ruszać w drogę

– powiedział łagodnie i podał Hani

miękką, ciepłą

łapę.



wielka  
miękka  
łopa ↗



Już ponad godzinę przedzierali się przez gąszcz. Teraz, kiedy Lucjan jedną łapę miał zajętą trzymaniem za rękę Hani, walizka służyła mu do torowania sobie drogi. Pchał ją przed sobą jak kosiarkę do trawy, pogwizdując wesoło pod nosem, i dziewczynka po raz pierwszy pomyślała, że to wszystko jest nawet zabawne. Trochę jak historie o przygodach Tapatików, które czytał jej tata. Nadal jednak nie miała pojęcia, dokąd idą. Nie była też pewna, czy wie to Lucjan, chociaż maszerował przed siebie z bardzo zadowoloną miną.

Kiedy jednak po raz kolejny minęli ten sam złamany pień dziwnego fioletowego drzewa, odważyła się zapytać:

– Dokąd właściwie idziemy?

Powiedziała to jednak tak cichutko, że jej głosik utonął w szeleście liści, trzasku gałęzi i gwizdzie Lucjana. Więc znowu szli przed siebie i znowu doszli do pasiastego, fioletowego pnia. A potem jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu Hania zebrała się na odwagę i zawołała:

– Chciałam o coś zapytać!



Lew Lucjan zatrzymał się i uśmiechnął szeroko pokazując błyszczące kły.

– A to pytaj, pytaj! Kto pyta nie błądzi! – zawołał tubalnym głosem i uśmiechnął się przyjaźnie.

– No właśnie. Chciałam zapytać, czy my przypadkiem nie błądzimy.

– Błądzimy? Ależ skąd moja droga, ależ skąd. Idziemy dokładnie tam, gdzie trzeba. Lucjan nigdy nie błądzi! – stwierdził uspokajająco lew i zamierzał ruszyć dalej.

Naprawdę trudno jest sprzeczać się z kimś, kto jest od nas trzy razy większy, ma wielkie zęby i ogromną grzywę, a do tego – zupełnie nie wiadomo po co – pcha przed sobą walizkę na kółkach. Zwłaszcza jeśli się jest małą dziewczynką daleko

od domu. Mimo to Hania spróbowała.

– Ale już siódmy raz mijamy to fioletowe drzewo, więc pomyślałam, że... – nie dokończyła, bo lew groźnie potrząsnął grzywą i pochylił się nad nią.

– Uważasz, że pomyliłem drogę? – zapytał z niezadowoloną miną i zanim przestraszona Hania zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, klepnął się w czoło i zawołał:

– To całkiem możliwe! Chyba rzeczywiście zapomniałem spojrzeć na mapę.



mina  
niezadowolona ↗



mapa ↗

O R V E

P





Jednym zręcznym pociągnięciem pazura otworzył walizkę, wyjął z niej elegancko oprawioną, grubą książkę pełną poskładanych map. Pochylił się nad nią i zagłębił w lekturze. Hania przysiadła obok.

– A jednak dobrze, że się odezwałam – pomyślała zadowolona. – Inaczej nie wiadomo jak długo kręcilibyśmy się po tym lesie.

Odetchnęła uspokojona. Lucjan, który właśnie skończył studiowanie map, rozglądając się dookoła, pomrukuje pod nosem:

– W prawo, w lewo, do polanki, przez strumyk...

Książkę położył na pniu i Hania mogła się teraz dokładnie przyjrzeć kolorowej okładce. Powoli, głośno (bo inaczej jeszcze nie umiała) odczytała widniejący na niej napis:

– WEE-KEND W KRA-I-NIE ZĘ-BO-WEJ WRÓ-ŻKI.

– Z kompletem map, 756 zdjęciami i 20 trasami wycieczkowymi!  
– dodał lew, nie kryjąc dumy.

Ale Hania nie podzielała jego radości. Przerażona rzuciła się do ucieczki. W kierunku, z którego przyszli. Jednak kiedy tylko zrobiła pierwszy krok, dżungla zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i nagle okazało się, że oboje znajdują się na wielkim, ogrodzonym trawniku.



– No i coś ty najlepszego narobiłaś! Tu jest wyraźnie napisane, że można poruszać się tylko do przodu! Nie wolno zawracać! – zezłościł się lew. – Teraz sami musimy szukać drogi. Przewodnik na nic nam się nie przyda – dodał zrezygnowany.

– Do Zębowej Wróżki? Za nic w świecie tam nie pójde! – Hania w ramach protestu kucnęła na trawniku.

– Zdaje się, że nie masz wyjścia. Tylko ona wydaje bilety powrotne – stwierdził Lucjan.

– Ale ja mówiłam o niej, że jest głupia i teraz ona na pewno zechce mnie ukarać! Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś, że jestem tu za karę? – rozplakała się Hania.

– Za jaką karę? Co ty pleciesz?! – zirytował się lew – I na miłość boską przestań beczeć!

– Jeśli to nie kara, to dlaczego tu jestem?

– zapytała Hania pociągając nosem.



– Cóż moja droga, właściwie sam nie wiem. Czasami pewne rzeczy się zdarzają. Czy nam się to podoba czy nie. I nie ma w tym niczyjej winy – powiedział Lucjan, przysiadając na trawie.

Nagle wrzasnął i zerwał się na równe łapy. Coś boleśnie uszczypnęło go w ogon. A może ugryzło? Zanim zdążył się nad tym zastanowić, gdzieś z dołu rozległ się rozwścieczony pisk.

– Nie jestem kanapą, ty żółta kupo pluszu!

Hania i Lucjan spojrzeli w dół. Z ziemi wystawała niewielka główka z ogromnym nosem i rumianym obliczem zwieńczona czerwoną czapczką. Kiedy przyjrzelisi się uważniej, dostrzegli w trawie kilka innych takich główek, a potem jeszcze więcej i jeszcze. Na całym trawniku, jak okiem sięgnąć, w równych rzędach wystawały z ziemi identyczne małe główki w czerwonych czapczkach. Jedna brzydsza od drugiej.

– Przepraszam najmocniej – powiedział zmieszany Lucjan. – Nie zauważyłem...

– Jak jesteś ślepy, to kup sobie okulary! – wrzasnął krasnoludek, a pozostałe głowy zawtórowały mu gwizdząc i pokazując języki.



– Naprawdę, to było niechący – zawołała Hania, bo żal jej się zrobiło lwa. – Przecież Lucjan przeprosił. Nie musicie być niemili.

– Musimy, musimy, bo bardzo lubimy! – krzyknął jeden z krasnoludków, a reszta zaczęła skandować: „Lucjan-plucjan” i z całych sił pluć przed siebie.

Przypominało to atak ogrodowych zraszaczy wody i Lucjan próbował zasłonić Hanię walizką. Na szczęście po chwili zza drzewa wyskoczył człowiek w żółtych kaloszach i spryskał całe to niesympatyczne towarzystwo pianą z czegoś w rodzaju gaśnicy.

– „Śmiechozol”! – zawołał, pokazując im butelkę. – Koncentrat czystego poczucia humoru. Bez konserwantów. Idealny na złośliwości. Dodaję gratis – powiedział i zachichotał.

– Do czego? Do tych gadających rzodkiewek? – zapytał zaskoczony Lucjan.



– Jakie rzodkiewki?! – oburzył się człowiek w żółtych kaloszach.  
– To sadzonki krasnali ogrodowych. Kiedyś hodowałem róże, ale teraz to już przeżytek. Trzeba je podlewać, przycinać... Klienci wołają krasnale.

– Ale one są okropnie niemiłe i brzydkie!

– Eee tam, od razu brzydkie. W hodowli są rzeczywiście trochę uciążliwe, ale za to sprzedają się świetnie, po prostu znakomicie – powiedział człowiek w żółtych kaloszach i wyjął z kieszeni plastikową torbę z napisem „KRASNOPLEX. Kompleksowe zakrasnalanie ogrodów”. – Zapakować kilka sztuk?

– Nie!!! – zawołali zgodnie Lucjan i Hania łąpiąc się za ręce. – Nie chcemy krasnali. Szukamy Zębowej Wróżki.

– Aaa... – człowiek w żółtych kaloszach wyraźnie stracił zainteresowanie. – To w tamtą stronę – machnął butłą „Śmiechozolu” w kierunku majaczących na horyzoncie budynków.

majaczące  
budynki



żółte  
kalosze



Szli asfaltową drogą w kierunku wskazanym przez człowieka w żółtych kaloszach. Mijając przydrożne reklamy, na których wymalowane były smakowite potrawy, poczuli, że są głodni. Przyspieszyli kroku i wkrótce zamazane budynki zaczęły nabierać kształtów. Czerwony płaski dach, żółte przeszklone ściany...

– Czy to dom Zębowej Wróżki? – zapytała Hania i ścisnęła Lucjana za łapę.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę – odpowiedział Lucjan, zmrużonymi oczami wpatrując się w migający nad wejściem neon.

– SMAKOLAND – przeczytał w końcu z wysiłkiem. – Świetnie się składa. To chyba restauracja.

Nie mylił się. To była restauracja. Kompletnie pusta. Ponura kelnerka przywlokła się do nich, szurając klapkami, i z posępną miną rzuciła na stół jadłospis.

– Patiszony na ostro, zupa z dzakfruta – przeczytał Lucjan.

– Hmm... Brzmi dość tajemniczo. A co to jest „pitpit w sosie z karamboli”?

– Sam pan zobaczy – odpowiedziała bez uśmiechu kelnerka.

Nie zabrzmiało to zachęcająco, ale byli zbyt głodni, żeby się nad tym zastanawiać.



Złożyli zamówienie, a kiedy kelnerka odeszła na zaplecze, Hania odezwała się nieśmiało:

– Chciałam cię przeprosić Lucjanie. Za to, jak się zachowałam, kiedy znalazłam cię pod poduszką. Musiało być ci przykro.

– No tak, to rzeczywiście nie było miłe – pokiwał głową Lucjan. – Ale cóż... Nie mogę być zbyt wymagający. Życie pluszowego lwa nie jest usłane różami. Mama zawsze mi to powtarzała.

– Zębowa Wróżka jest twoją mamą? – spytała Hania z nadzieją.

– Ależ skąd! – roześmiał się lew. – Moja mama to moja mama.

– Ale jaka ona jest, ta wróżka? Jak wygląda? Czy ma skrzydła? – dopytywała się Hania.

– Skrzydła? Niekoniecznie. Zresztą to jak wygląda nie ma żadnego znaczenia – powiedział Lucjan.

W tym właśnie momencie kelnerka wniosła zamówione potrawy.

– Tamarynda po tasmańsku – mruknęła, stawiając przez Hanią talerz szaroburej breji.

Drugi, taki sam, postawiła przed nosem Lucjana ze słowami:

kompletne pusta restoracija







– Pandanus zapiekany.

Spojrzeli z przerażeniem na kelnerkę, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Lucjan odważnie złapał widelec i nabrał na niego odrobinę pandamusa. Niestety, smakował on dokładnie tak, jak wyglądał. Obrzydliwie.

– Przyprawy! Potrzebne są przyprawy – powiedział i sięgnął do walizki, z której wyjął dwa pojemniczki w kształcie solniczek.

Na jednym napisane było: „Wyobraźnia” na drugim: „Dobra wola”. Posypał nimi obficie swojego pandamusa i ponownie spróbował.

– No, tym razem całkiem, całkiem... – wymruczał zadowolony.

– Ja tego nie zjem – oświadczyła kategorycznie Hania i przetykając ślinę rozpaczliwie zatęskniła za domowymi obiadami. Tak, nawet za pulpecikami w sosie pomidorowym. Czy naprawdę mówiła kiedyś, że są ohydne?

– Masz wybór. Albo umrzeć z głodu, albo wyobrazić sobie, że to naleśniki z twarogiem i truskawkami – stwierdził lew, podsuwając jej przyprawy.

W brzuchu Hani burczało coraz głośniejsze, więc dodała najpierw mnóstwo wyobraźni, a potem jeszcze więcej dobrej woli i z zamkniętymi oczami sięgnęła po widelec.

– Naleśniki! Prawdziwe naleśniki – zawołała, przetykając pierwszy kęs. – Ale przecież to niemożliwe!

– Już to dzisiaj mówiaś – roześmiał się lew i otarł pysk serwetką.



Kiedy opuścili Smakoland, słońce – jak wielki czerwony pomidor – toczyło się powoli za horyzont. Nieubłaganie zbliżał się wieczór, skierowali się więc w stronę hotelu Pod Górą, o którym informowały ulotki rozłożone na parapecie restauracji. Na szczęście nie był daleko. Już za trzecim zakrętem zobaczyli wylaniającą się zza drzew górę. Tuż pod jej zielonym zboczem wznosił się ceglany budynek pełen spiczastych wieżyczek i ozdobnych balkoników. W recepcji powitał ich maleńki łysy człowieczek z rudymi wąsami, tak długimi, że ciągnęły się po ziemi.

– Na długo zostaniecie? – zapytał, wpisując ich do książki meldunkowej.

– Tylko na jedną noc – odpowiedział Lucjan, a Hania ziewnęła rozzdzierająco. – Musimy jak najszybciej dojść do Zębowej Wróżki. Czy wie pan może, jak tam trafić?

– Ależ oczywiście, oczywiście – ożywił się człowieczek i zatupał małymi nóżkami, przydeptując wąsy. – Droga do Zębowej Wróżki prowadzi właśnie przez naszą górę.

Hotel  
pod Górą





Ale pokonać ją nie jest łatwo! – dodał ścisząc głos. – Wspinaczka trwa długo i jest niezwykle uciążliwa. A po drodze czyha mnóstwo okropnie przerażających niebezpieczeństw. Niebezpieczeństw?! – Hania przestała ziewać i otworzyła szeroko oczy.

– Strome zbocza, dzikie zwierzęta, trujące rośliny, bezdenne przepaście, krwiożercze owady, porywiste wichry... – z satysfakcją wyliczał na palcach recepcjonista.

– I to wszystko na tej jednej górze? A wyglądała tak przyjemnie – zdziwił się lew, kładąc łapę na ramieniu Hani, której błękitne oczy zaczynały przypominać talerzyki do ciasta.

– O! To tylko pozory! Poza tym...

– Czy możemy prosić o klucz? – grzecznie, ale stanowczo przerwał mu Lucjan wyciągając łapę. – Jesteśmy bardzo zmęczeni.

– Nie chcecie posłuchać, co strasznego przydarzyło się waszym poprzednikom? Jeden z nich... – nie dawał za wygraną człowieczek.

– Dziękujemy bardzo. Dobranoc – uciął rozmowę lew, złapał Hanię i walizkę, i pomaszzerował do pokoju nr 5, zostawiając rozczarowanego recepcjonistę, którego rude wąsy wyraźnie oklapły.

Pokój był duży, ale przytulny, z miękkim dywanem i wielkimi łózkami, nad którymi zwieszały się kwieciste baldachimy. Kiedy już leżeli pod kołdrami, Lucjan zauważył, że baldachim nad łóżkiem Hani dziwnie dygocze.

– A ty co? Boisz się? – zapytał.

– Nie... – wyszeptwała Hania drżącym głosem. – Ja tylko... tak się trzęsę, bo... Dlaczego nie chciałeś posłuchać, co jeszcze ten

RECEPCJA

bardzo  
długie  
wąsy



wąsacz chciał nam powiedzieć?

– Mam wrażenie, że trochę przesadzał. A poza tym... – tu Lucjan lekko się zawahał – bałem się, że jego opowieści za bardzo mnie przestraszą – dokończył niepewnym głosem.

– To lwy też się boją? – zdziwiła się Hania.

– Każdy się czasem boi – westchnął lew.

Na chwilę zapadła cisza.

– Jak myślisz, czy ta góra jest naprawdę taka okropna? – odezwała się po chwili Hania.

Głos jeszcze drżał jej lekko, ale baldachim trząśnięty już zdecydowanie mniej.

– Nie mam pojęcia, ale jednego jestem pewny. Cokolwiek się zdarzy, będziemy razem. Ja z tobą, a ty ze mną. A teraz schowaj swój strach pod tę poduszkę, niech też się wyśpi – odpowiedział Lucjan, otwierając walizkę.

Wyjął z niej malutki puchowy jasek i podał Hani. Po chwili w pokoju słychać było tylko spokojne miarowe oddechy.





Obudziło ich słońce. Wstali i zbiegli na dół. Recepcjonista zdejmował właśnie z wąsów różowe lokówki.

– Takie długie wąsy są pewnie niewygodne? – zapytała ze współczuciem Hania.

– Co noc nakręcam je na wałki, ale pod koniec dnia i tak się rozprostowują – powiedział ze smutkiem wąsacz wrzucając lokówki do szuflady.

– A nie lepiej byłoby przyciąć? – zaproponował lew.

– Sam pan sobie przytnij! – zawołał łysy człowieczek, patrząc z zawiścią na jego bujną grzywę.

– No to któredy najkrócej na tę górę? – zmienił temat Lucjan zacierając łapy.

– Na górę? Jaką górę? – recepcjonista poruszył nerwowo wąsami – Góry nie ma.

– Jak to nie ma? – zbaraniał Lucjan.

– Po prostu. Wczoraj była, a dzisiaj nie ma. Poszła sobie – oznajmił człowieczek wykładając na kontuar młotek i gwoździe.

– To po co nas pan straszyl? Tak się baliśmy i co teraz?! Wszystko na darmo? – zawołała Hania.

– Ależ skądże znowu. Nie pozwolę, żeby w moim hotelu cokolwiek się zmarnowało – recepcjonista skierował się do wyjścia.



– Zamiast góry mamy teraz jezioro. Jeszcze bardziej niebezpieczne – dodał przybijając nad drzwiami nowy szyld, który głosił: „HOTEL NAD JEZIOREM”.

– W ramach rekompensaty za niespodziewane zmiany oferujemy darmowy karnet do naszego hotelowego salonu piękności – wążacz nacisnął dzwonek i w korytarzu pojawiła się nieprawdopodobnie wysoka, przypominająca pudła kobieta.

– Komputerowy dobór fryzury, permanentny makijaż, solarium natryskowe, błotna sauna. A wszystko pod okiem doskonałych fachowców – wyrecytowała. – Niestety, lwów nie przyjmujemy – złapała Hanię za rękę i nim Lucjan zdążył się obejrzeć, zamknęła mu drzwi przed nosem.

Oszołomiony niespodziewanym przebiegiem zdarzeń, lew usiadł na walizce, nie spuszczając wzroku z drzwi, za którymi zniknęła Hania.

Po godzinie, która Lucjanowi wydawała się wiecznością, drzwi się otworzyły. Stało w nich niebieskie stworzenie z czubem na głowie, ubrane w dziwnie znajomą, przybrudzoną pidżamę.

– I jak wyglądam? – zapytało głosem Hani, ale zanim osłupiały lew zdążył cokolwiek wykrztusić, podreptało do lustra na końcu korytarza, skąd po chwili rozległ się rozzwierający szloch. – Przecież to nie ja! Co oni mi zrobili?!!



niebieskie  
stworzenie



Lucjan podrapał się po głowie, otworzył walizkę, pogrzebał w niej chwilę i podszedł do zrozpaczonej dziewczynki. Nawet nie próbował jej pocieszać.

– To dla ciebie – powiedział wręczając jej koszulkę z nadrukowanym napisem.

– „Jestem Hania” – przeczytała Hania ocierając łzy. – Dlaczego mi to dajesz?

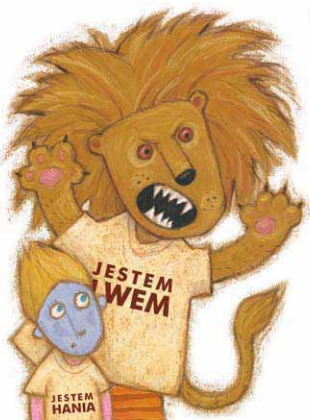
– Żebyś nie zapomniała, że w środku jesteś wciąż taka sama. Zmienili ci tylko opakowanie. Ja też włożę taką koszulkę.

– Z napisem „Jestem Hania?” – zapytała dziewczynka z bladym uśmiechem.

– Nie. Z napisem „Jestem lwem” – odpowiedział Lucjan i delikatnie pogładził Hanię po głowie.

– Ale przecież ty się nie zmienisz. Wszyscy widzą, kim jesteś – powiedziała Hania.

– Wszyscy widzą, ale ja sam czasem o tym zapominam – mruknął Lucjan i dla wprawy ryknął groźnie na fysego recepcjonistę, który właśnie pojawił się na korytarzu.





Wyszli z hotelu. Po górze nie było śladu. W miejscu, gdzie jeszcze wczoraj widniało zielone zbocze, rozlewało się teraz turkusowe jezioro. Wiedzieli, że aby dotrzeć do Zębowej Wróżki powinni przepłynąć na drugi brzeg. Nie mieli jednak pojęcia, jak to zrobić. Recepcjonista – jedyna osoba chętna do udzielania informacji – po tym jak Lucjan na niego ryknął, zabarykadował się w schowku na szczotki i nie reagował na pukanie. Musieli więc radzić sobie sami. Już dość długo szli wzdłuż brzegu, ale nadal nie widać było nic prócz gęstych szuwarów. Z nieba lał się żar, a z Hani – strumyczki niebieskiego potu.

– Nie musiałeś go tak straszyć. Co teraz zrobimy? – zapytała z pretensją w głosie.

– No dobrze, może rzeczywiście trochę przesadziłem, ale skąd miałem wiedzieć, że jest taki nerwowy – zakłopotany Lucjan odgarnął z czoła spoconą grzywę. – Ale nie martw się, jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie zaprowadził jakiegoś dziecka do Zębowej Wróżki.

– To ty już tu byłeś? I nie znasz drogi?! – zirytowała się Hania.

– Problem w tym, że ta kraina ciągle się zmienia. Każdy, kto tu przybywa musi pokonać swoją własną drogę – wyjaśnił lew i właśnie w tym momencie oboje zauważyli wśród szuwarów drewniany

pomost, do którego przymocowana była łódka.

Kiedy Lucjan mocował się z zardzewiałym łańcuchem, Hania położyła się na brzuchu i wpatrywała się w swoje odbicie w wodzie.

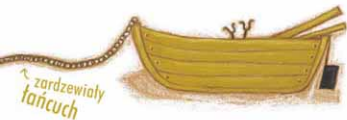
– Czy to mi tak zostanie? – zapytała zrezygnowana, bezskutecznie próbując zdrapać niebieską warstwę.

– Myślę, że nie, na pewno nie... – wymamrotał lew majstrując przy kłodce.

Wsiadli do łódki. Ale nie odплыnęli daleko. Kiedy zrobili kolejny obrót wokół własnej osi, Hania zapytała:

– Lucjanie, czy ty umiesz wiosłować?

– Nie, ale chętnie się nauczę – odparł lew wymachując z zapalem wiosłami.



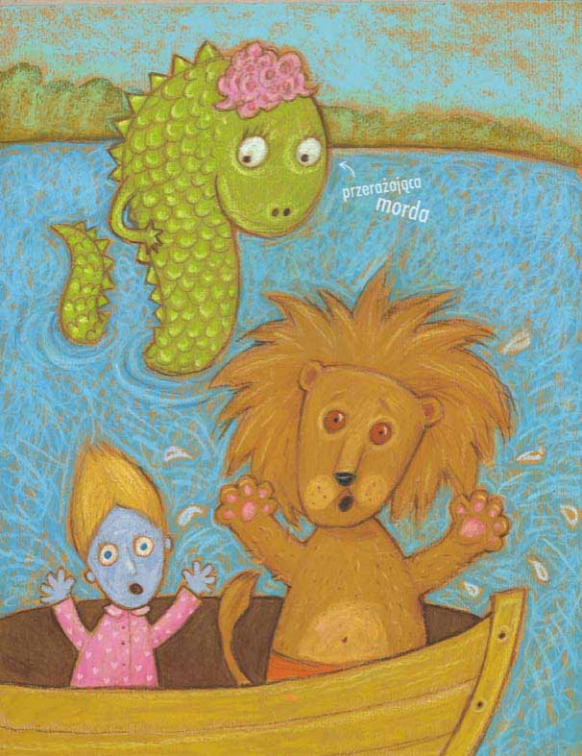
Nagle jezioro gwałtownie zabulgotało i wynurzył się z niego...

– Potwór!!! – wrzasnęła Hania i zerwała się na nogi.

Łódka niebezpiecznie zachybotała, a struchlały lew wypuścił wiosła do wody, z której patrzyła na nich przerażająca morda z wyłupiastymi oczami.

– Uciekamy! – ryknął Lucjan i w panice zaczął wiosłować łapami, wchlapując jednocześnie do łódki nieprawdopodobną ilość wody.

Panicznie miotali się po jeziorze, wrzeszcząc wniebogłosy. Przez kilka minut potwór o gigantycznej łuskowatej głowie przyglądał się temu z filozoficznym spokojem, po czym podniósł wielką łapę i pacnął nią o łódkę.



przeróżajca  
morda

– Spokój! – powiedział stanowczo. – I przestań machać łapami, bo zaraz pójdziecie na dno – zwrócił się do Lucjana, podając mu wiosła.

– Potwór! Potwór! – darła się nadal Hania.

– A ty co? Myślisz, że lepiej wyglądasz? – zdenerwował się potwór. – Dacie mi w końcu dojsć do głosu?

Hania zamilkła.

– Po pierwsze nie jestem żaden potwór, tylko Potfora. Potfora z Jeziora – przedstawiło się dziwaczne zjawisko, poprawiając loczki i mrugając kokieteryjnie długimi rzęsami. – Po drugie nie oceniacie nikogo po wyglądzie. Czy to moja wina, że nie jestem pięknością? – tu Potfora uroniła łzę, która stoczyła się po jej zielonym policzku i z głośnym pluskiem wpadła do jeziora.

– Przecież ja nie chcę zrobić nikomu krzywdy. Widzę, jak się męczycie, i od paru minut próbuję wam pomóc. Tak lubię pomagać i nie rozumiem, dlaczego wszyscy się mnie boją – powiedziała Potfora i wyszczerzyła w uśmiechu potworne kły.

Lucjan i Hania spojrzeli na siebie w zdumieniu.



Łza  
się toczy



Choć trudno zaufać komuś o wyglądzie smoka, czasami warto. Potfora okazała się przemyśłym stworzeniem. Cierpliwie próbowała nauczyć Lucjana wiosłować. Niestety, mimo obopólnych starań łódka wciąż kręciła się w kółko.

– Nie przejmuj się, jesteś przecież lwem, a nie bobrem – Potfora poklepała smutnego lwa po łopatkach, a potem po prostu wzięła łódkę pod pachę i bezpiecznie przeniosła na drugi brzeg.

Wdzięczny lew otworzył walizkę, wyjął z niej czepek kąpielowy wielkości dmuchanego basenu i wręczył Potforze.

– Cudownie! Teraz woda nie będzie moczyła mi loczków! – zawołała zachwycona i czule wyciąłowała oboje na pożegnanie.

– Skąd miałeś w walizce taki ogromny czepek? Wiedziałeś, że spotkamy Potforę? – zapytała Hania, kiedy ruszyli wąską ścieżką na strome wzgórze.

– Nie miałem o tym pojęcia. To czarodziejska walizka. Nigdy nie wiem, co w niej znajdę. Ale zawsze jest tam to, czego najbardziej potrzebuję – odpowiedział Lucjan posapując.

– Ale fajnie! Też bym chciała mieć coś takiego – westchnęła z zazdrością Hania.

– Każdy ją ma, tylko nie wszyscy o tym wiedzą

– roześmiał się lew i rozejrzał się dookoła.



Dotarli właśnie na porośnięte wrzosami wzgórze, z którego rozciągał się widok na całą okolicę. Potfora powiedziała, że znajdą tu kogoś, kto udzieli im dalszych wskazówek. Nie czekali długo. Zza rzadkich krzewów wyłonił się terenowy samochód. Wyskoczył z niego człowiek w pilotce na głowie.

– Witam! Witam serdecznie! Jestem waszym instruktorem – zawołał radośnie. – Zanim polecicie, życzyście sobie wykład teoretyczny, czy wystarczy parę praktycznych wskazówek?

– zapytał otwierając bagażnik, z którego wyciągnął jakieś tajemnicze urządzenie.

– Polecimy? – powtórzył lew niepewnie.

Hani z wrażenia odebrało głos. Urządzenie, które rozkładał na trawie człowiek w pilotce, nie przypominało niczego, co do tej pory widziała.

– No tak. Podobno chcecie się zobaczyć z Zębową Wróżką. Czy może zaszła jakaś pomyłka? – zapytał instruktor.

– Nie, nie ma żadnej pomyłki. Tylko nigdy jeszcze nie latałem i nie wiem, czy potrafię. Z wiosłowaniem mi nie wyszło – zamruczał zawstydzony lew.

– Latanie na paralołtni jest jak jazda na rowerze – uśmiechnął się człowiek w pilotce. – Jeśli za dużo nie kombinujesz, to po prostu lecisz.



wrzosy  
rosną →





Lucjan z powątpiewaniem potrząsnął głową. Nagle poczuł w swojej łapie małą rączkę.

– Poradzimy sobie, zobaczysz. Przecież jesteśmy razem. Ja z tobą, a ty ze mną, pamiętasz? – powiedziała i uśmiechnęła się do niego najpiękniejszym szczerbatym uśmiechem.

Lew spojrział z podziwem na dziewczynkę. Przed nim stała nieustraszona niebieska pogromczyni przestrzeni.

– No to lecimy – powiedział i usadowili się na paralołni. – Nie boisz się? – zapytał Hanię.

– Pewnie, że się boję. A ty nie? – roześmiała się dziewczynka, przekrzykując szum wiatru.

Teraz trzeba się było tylko dobrze rozpędzić. Biegli z całych sił, a kiedy ziemia uciekła im spod stóp, po prostu wzbili się w powietrze.

– Lecimyyyyyy!!! - zawołali uradowani i spojrzeli w dół.

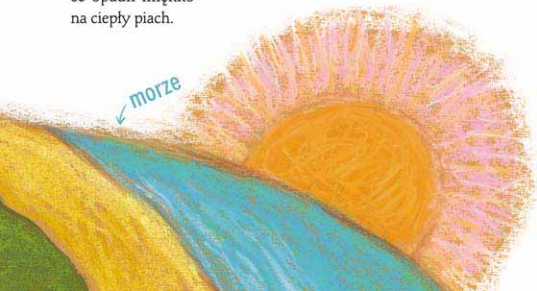
Pod nimi rozpościerał się niekończący się kolorowy dywan utkany z lasów, jezior i łąk, wyszywany w malutkie domki.



Lecieli długo, to wznosząc się, to opadając. Wiatr rozwiewał grzywę lwa i włosy Hani i nic już nie zostało z dziwacznej, czubatej fryzury. Poddając się jego łagodnym podmuchom, zupełnie zapomnieli o strachu. Wtedy właśnie na horyzoncie pojawiła się migocząca szafirowa tasiemka, która szybko zamieniła się w całkiem sporą wstążkę.

– Morze! Lucjanie, morze! – zawołała podekscytowana Hania.

Przelatywali teraz nad białymi wydymami i wyglądało na to, że jeśli nie chcą wykąpać się razem z parolotnią, czas pomyśleć o lądowaniu. Rady udzielone przez człowieka w pilotce okazały się bardzo przydatne i już wkrótce opadli miękko na ciepły piach.





– No brawo, brawo! Nie sądziłam, że pójdzie wam aż tak dobrze – rozległ się za ich plecami kobiecy głos.

Daliby głowę, że kiedy lądowali, plaża była kompletnie pusta. Teraz jednak tuż obok stał pasiasty leżak, który całkowicie wypełniała sobą gruba pani w stroju kąpielowym i wielkich przeciwsłonecznych okularach. Krótką szyję owiniętą miała sznurem perłowych koralików.

– Nasmaruj mi plecy, kochana – poprosiła, wyciągając do Hani rękę z olejkami do opalania.

Zaskoczona dziewczynka posłusznie wykonała polecenie, a kiedy wtarła sobie w dłonie resztę olejku zobaczyła, że odzyskuje one swoją dawną barwę.

– Nałóż sobie jeszcze na buzię – powiedziała gruba pani. – To wyjątkowo dobry odniebieszczacz. Wystarczy odrobina i będziesz wyglądała jak dawniej.

– Skąd pani wie, jak kiedyś wyglądałam? – zapytała zdumiona Hania.

– No cóż, w końcu jestem Zębową Wróżką! – roześmiała się pani i poprawiła okulary.

– Ale przecież wróżki wyglądają zupełnie inaczej – zaprotestowała Hania. – Mają takie spiczaste czapki i różdżki, i... – chciała jeszcze dodać, że nie są takie grube, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– No tak, kiedyś rzeczywiście tak było, ale teraz idziemy z duchem czasu – powiedziała wróżka. – Ale nie zajmujmy się mną, ty jesteś teraz najważniejsza. Pewnie chcesz wrócić do domu?



olejek  
do opalania



– Mogę! Naprawdę! – Hania aż podskoczyła z radości.

– Ależ oczywiście. Odbyłaś długą drogę i nikt nie zamierza trzymać cię tu dłużej, niż to konieczne. Najpierw jednak musimy załatwić sprawę prezentu. Wiem, że on ci się nie podobał

– tu wróżka tłusciutkim palcem ozdobionym pierścieniem z perłą dziobnęła Lucjana, który w milczeniu siedział na piasku.

Hania ze wstydem spuściła głowę. Była pewna, że teraz Zębowa Wróżka zacznie jej robić wyrzuty. Jednak ona bez słowa grzebała w swoich plażowych torbach.

– W zasadzie jestem nieomylna, ale czasami może zdarzyć się jakieś niedopatrzenie – powiedziała w końcu. – Jeśli nadal chcesz go wymienić, to proszę bardzo – wyciągnęła z torby lalkę, film o odlotowych agentkach i świecące mazaki.

Lew udawał, że nie zwraca na to wszystko uwagi, ale słychać było, jak głośno przetyka ślinę.

– Wymienić? Lucjana? Na to? – Hania aż zatrzęsała się z oburzenia. – Przyjaciół się nie wymienia!

– Aha. Więc jednak się nie pomyliłam? – upewniła się wróżka. – No to świetnie. W takim razie czas do domu.

Hania podeszła do lwa i mocno go objęła. Zębowa Wróżka wyjęła z torby małą pieczętkę.

– Proszę powiedzieć, co robi pani z tymi zębami? – zdążyła jeszcze zapytać Hania.

– Zamieniam je w perły! – roześmiała się Zębowa Wróżka, przybijając jej na dłoni pieczętkę z napisem „BILET POWROTNY”.

## Epilog



Hanię obudził stukot.

– Pewnie Lucjan źle ją przywiązał łódkę do pomostu – pomyślała otwierając oczy.

Ale to nie stuknęła żadna łódka tylko pantofle kogoś, kto właśnie wchodził do pokoju.

– Mama! – wrzasnęła uradowana Hania.

– O! Jak miło, że jesteś dziś w dobrym humorze – uśmiechnęła się mama. – I cieszę się, że w końcu polubiłaś tego lwa.

Dopiero wtedy Hania zauważyła, że cały czas tuli do siebie Lucjana, skurczonego do zwyczajnych pluszowych rozmiarów.

Ścisnął w łapie walizkę i wyglądał, jakby nigdy nie powiedział ani słowa. Zanim Hania zdążyła się nad tym zastanowić, mama powiedziała:

– Wstawaj córeczko.  
Śniadanie na stole.

Przy owsiance (która, w porównaniu z tamaryndą po tasmańsku wyglądała całkiem nieźle) mama zerkając na pieczątkę od Zębowej Wróżki zauważyła:  
– Bardzo dziwne tatuaże dodają teraz do chipsów.



Hania już otworzyła usta, żeby zaprotestować, że to przecież nie jest żaden tatuaż, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– Mama i tak by nie uwierzyła, prawda Lucjanie? – szepnęła do pluszowego ucha.

Zjadła śniadanie i wyszła na podwórko. Dziewczynki z jej bloku jak zwykle chichotały pod trzepakiem. Podeszła do nich. Już się nie bała. Przecież nie mogły być gorsze od ogrodowych krasnali.

– Cześć! Wypadł mi ząb – powiedziała.

– Naprawdę? Pokaż! – zawołała jedna z nich, a pozostałe dziewczynki przestały chichotać i popatrzyły na Hanię z zainteresowaniem.

Hania otworzyła buzię, żeby zademonstrować dziurę po zębie, ale kiedy pomacała ją językiem okazało się, że dziura przestała być dziurą. Rósł w niej ząb! Pierwszy dorosły ząb.



## spis treści



rozdział pierwszy	<b>Ząb</b>	.....	5
rozdział drugi	<b>Lucjan</b>	.....	9
rozdział trzeci	<b>Dżungla</b>	.....	13
rozdział czwarty	<b>Śmiechozol</b>	.....	17
rozdział piąty	<b>Restauracja</b>	.....	21
rozdział szósty	<b>Hotel Pod Górą</b>	.....	25
rozdział siódmy	<b>Salon piękności</b>	.....	29
rozdział ósmy	<b>Potfora z Jeziora</b>	.....	33
rozdział dziewiąty	<b>Sztuka latania</b>	....	37
rozdział dziesiąty	<b>Zębowa Wróżka</b>	....	41
<b>Epilog</b>		.....	45





Ilustracje i opracowanie graficzne: Jona Jung  
Redakcja: Piotr Walkowicz  
Konsultacja merytoryczna: dr hab. Katarzyna Krasoń  
Wydano w ramach programu „W towarzystwie lwa”, ING Bank Śląski  
Wydanie V  
Nakład 4000 egz.  
ISBN 978-83-928961-7-3  
Copyright © ING Bank Śląski  
Katowice 2012  
Egzemplarz bezpłatny

[www.ingdzieciom.pl](http://www.ingdzieciom.pl)  
[www.ing.pl](http://www.ing.pl)



ING Bank Śląski od wielu lat pomaga dzieciom szczególnie potrzebującym wsparcia. Właśnie dlatego powstała ta wyjątkowa książka. *Lucjan lew, jakiego nie było* opowiada historię lwa Lucjana i Hani, wędrujących przez krainę Zębowej Wróżki. Ich przygody pokazują dzieciom jak pokonywać trudności i przeszkody dzięki przyjaźni i zaufaniu. Bohaterowie pomagają uwierzyć młodemu czytelnikowi we własne siły w walce z przeciwnościami losu.

Jako instytucja finansowa odpowiedzialna społecznie prowadzimy działania na rzecz dzieci, młodzieży i wspieramy lokalną społeczność. W ten sposób, wspólnie z Fundacją ING Dzieciom chcemy przyczynić się do lepszej przyszłości naszych podopiecznych.

Więcej o naszych książkach: [www.ingdzieciom.pl](http://www.ingdzieciom.pl)

Więcej o naszej działalności: [www.ingbank.pl/o-banku/odpowiedzialnosc-spoleczna](http://www.ingbank.pl/o-banku/odpowiedzialnosc-spoleczna)